Tu Gober. O nowej książce „Łobuzy”.



Tu Gober

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Właśnie wyszła Pana książka „Łobuzy”. Jest to powieść przygodowa, której akcja dzieje się w małym miasteczku na Pomorzu w latach 90. Skąd

pomysł na tę powieść?

Tu Gober: Pomysł narodził się jak zwykle sam z siebie. Tam razem było to na tyle szybkie i spontaniczne, że aż sam się zdziwiłem. Po prostu usiadłem przy komputerze, pomyślałem – trzeba napisać książkę, otworzyłem notatnik i poleciało. Z biegiem pisania rodziły się pomysły i cały zarys fabuły. Dopiero potem, jak już się ocknąłem z tego naprawdę miłego transu zrozumiałem, że to jest to. Inspiracje na pewno przyszły z dzieciństwa, w którym miałem tyle przygód, że zabrakło by papieru, aby je wszystkie opisać, no ale zamiast biografii powstała książka przygodowa i mimo tego, że fabuła jest wytworem mojej wyobraźni, towarzyszy jej wiele autentycznych scen i epizodów z tamtych lat.

Sam pochodzę z Pomorza, a dokładnie z Lęborka i choć opisywane miasteczko, w którym mieszkają i broją młodzi bohaterowie książki „Łobuzy" nosi nazwę Potok, to można w nim znaleźć wiele podobieństw do większych lub mniejszych miejscowości na północy Polski.

Myślę, że wielkim atutem tej historii jest to, że cała akcja rozgrywa się właśnie w latach 90., bo dla wszystkich tych, którzy wtedy żyli będzie to bardzo jaskrawa reminiscencja, która przywróci wiele wspomnień, a dla młodszych czytelników odbiciem tego jak wtedy było. To wszystko, przewija się obok

intensywnych przygód grupki zbuntowanych chłopaków, którzy postanowili uciec ze swoich domów. Na początku zobaczymy ich w rodzinnych domach, szkole czy na podwórku, gdzie duch tamtych czasów będzie widoczny w każdej linijce, a kolejne kartki przeniosą czytelnika w gęstwiny lasów, gdzie gubi się czwórka uciekinierów muszących znaleźć sposób na to, aby tam przetrwać. A niebezpieczeństw czyha naprawdę wiele.

Jaki cel Panu przyświecał, kiedy pisał Pan tę książkę?

Myślę, że bardziej niż cel było to natchnienie. Przypływ weny, który musiał znaleźć gdzieś swoje ujście, a za każdym razem kiedy coś stworzę to bardziej lub mniej świadomie kontynuuję również już dawno obrany cel, aby coś tu po sobie zostawić.

Taka historia jak ta opisana w „Łobuzach” nie zmieściła by się w kawałku muzycznym, gdyż zabrakło by miejsca, aby umieścić w nim tak wiele szczegółów więc myślę, ze dobrze się stało że zacząłem pisać to prozą, zamiast tak jak najczęściej to robię rymować.

Do kogo jest książka skierowana? Czy może być to lektura „rodzinna” na wakacje?

Książka ta skierowana jest niemal dla wszystkich pokoleń, choć na pewno z jakimś ograniczeniem dla tych najmłodszych, gdyż

występują w niej elementy thrillera. Myślę, że świetnie nada się na wakacje, w których czytelnik na chwilę przeniesie się w czasie i nie będzie się przy niej nudził. Oprócz tych groźniejszych sytuacji, będzie tam wiele humoru, także jak najbardziej na hamak, wygodną kanapę czy do pociągu, samemu czy też z rodziną.



To jest druga już Pana książka, proszę przybliżyć pierwszą „Trzy sumienia”?

W „Trzech sumieniach” opisałem przygody trójki przyjaciół,

którzy są już trochę po dwudziestce i kroczą nie do końca legalną drogą. Trener, Beno oraz Kalafior uwikłani są w przeróżne perypetie, a fabuła obrazuje ich przyjaźń, start w dorosłe życie i zmagania z trudną sytuacją na tle miejskiego marginesu. Tę książkę trudno zaszufladkować, gdyż występuje w niej wiele elementów, od obyczajowych, aż po kryminalne czy dramatyczne. Najbardziej pasowałoby do niej miano powieści ulicznej, jeżeli taka kategoria istnieje. Pokazany jest przestępczy światek, gdzie nie brakuje kradzieży i narkotyków, ale są także głębokie refleksje oraz przemiana, która na swój sposób następuje w każdym z trzech bohaterów.

Na czym polega połączenie tej książki z płytą „Dwa glosy”?

Niemal każdy utwór, który znalazł się w albumie „Dwa Głosy”, w jakiś sposób nawiązuje do tematyki „Trzech Sumień” i najbardziej jest to słyszalne w audiobooku, który nagrałem, gdzie pojawia się część z nich. Pisząc książkę myślałem o płycie i na odwrót. Atmosferę dobrze oddaje też brzmienie, nad którym pracowałem wraz z Dj-em Gonkiem. Ogólnie kosztowało to wszystko sporo pracy, ale myślę że było warto i wyszło z tego coś ciekawego.

Jest Pan raperem, producentem muzycznym, twórcą teledysków, organizatorem koncertów. Jak Pan godzi tyle działalności?

Czasami myślę, że trochę za dużo biorę sobie na głowę, ale chyba taki już jestem. Nie potrafię zbyt długo usiedzieć w miejscu i bezustannie rodzą się nowe pomysły. Myślę, że szybko by mi się to znudziło, gdybym zajmował się tylko jedną z tych rzeczy i choć chwilami brakuje czasu plusem jest to, że wszystkie te pasje są ze sobą związane, więc łatwiej je realizować. Jest coś niesamowitego w połączeniu dźwięku i obrazu. Wydaje mi się, że jestem dopiero na początku tej drogi, gdyż naprawdę mocno mnie to wciągnęło. Pozytywnego kopniaka daje też widok bardzo ucieszonych ludzi, którzy przychodzą posłuchać na żywo swojego ulubionego artysty i choć chwilowo brakuje mi na to czasu, myślę, że pojawią się jeszcze jakieś koncerty, które wspomogę. Rap był odkąd pamiętam i jeśli do tego dożyję to będę go wykonywał zapewne jeszcze jako siwiutki dziadek. Eksperymentuję również z innymi gatunkami, takimi jak jazz, reggae, muzyka filmowa czy drum’n’bass i coraz częściej myślę, aby stworzyć z tego jakiś fajny zlepek i umieścić to na płycie.



Tu Gober w Lęborku, fot. Gie Studio

Mieszka Pan w Irlandii, proszę opowiedzieć jak znalazł się Pan na emigracji?

To chyba taki sam powód jak u 99% reszty emigrantów, a mianowicie w Polsce brakowało perspektyw na godny byt. W byłym województwie słupskim, do którego zaliczał się Lębork panowało najwyższe bezrobocie w kraju i naprawdę nie było lekko. Jako młody i niezbyt roztropny w tamtych latach człowiek, popadałem w coraz większe kłopoty i dołączenie do tej ogromnej fali emigracji w latach 2005-2008 było dla mnie wyjściem z opresji.

Z moich obserwacji wynika, że teraz ludzie żyją w Polsce coraz

lepiej i ostatnio też jestem świadkiem fali powrotów. Wielu z moich przyjaciół oraz znajomych wróciło do Polski i myślę, że na mnie też już niebawem czas.

Pana teksty są w wielu przypadkach bardzo patriotyczne. Czy mieszkając poza krajem odczuwa się większą potrzebę bycia patriotą? Jak to jest wśród młodego pokolenia?

Ojczyzna zawsze miała dla mnie wielkie znaczenie i pierwsze patriotyczne utwory powstawały, kiedy w niej jeszcze mieszkałem. Myślę jednak, że przebywając daleko za granicami odczucia patriotyczne pogłębiają się w człowieku i mimowolnie każdego z nas tutaj raz na jakiś czas dotyka nostalgia, jakby wołało coś nas z powrotem. Uczestnicząc czy organizując spotkania patriotyczne nie raz miałem okazję poczuć i zobaczyć prawdziwego ducha polskości, którego żar u wielu z nas emigrantów jest tak wyraźny. Poznałem tutaj wspaniałych ludzi, którzy godnie reprezentują swój kraj i zawsze z chęcią pomogą rodakowi w potrzebie. Myślę, że nie jest to prawdą, że na obczyźnie nie mamy wpływu na losy własnego kraju, otóż każdy z nas tutaj jest w pewnym sensie jego ambasadorem. Wpływamy tu na opinie, zachęcamy do turystyki, inwestujemy w Polsce zarobione pieniądze, a tworząc oraz jednocząc silną diasporę możemy mieć szansę na wiele więcej.



18-go czerwca miała miejsce premiera Pana najnowszej płyty p.t. „Start”. Proszę o niej opowiedzieć.

Album ten jest dla mnie szczególnie ważny, gdyż pokazuje początek nowego etapu w moim życiu. Jest to obraz zmiany na lepsze, których doświadczyłem w wielu aspektach, takich jak rodzina, rozwój osobisty czy wiara. Oderwany od starych nawyków oraz stagnacji startuję wraz z nim w nowe. Pozbyłem

się pewnych oporów i własnych blokad i teraz może być tylko lepiej, a moja twórczość osiąga właśnie kolejny poziom. Dwanaście utworów na płycie to mieszanka klasycznego i nowoczesnego brzmienia, jednak zachowana została spójność i jestem z nich bardzo zadowolony. Jest to też mój pierwszy solowy album, gdzie podkłady muzyczne tworzyłem lub dobierałem samemu. Wspomogli mnie wspaniali goście i jak zawsze fenomenalny Dj Gondek.

Wywiadu udzielił: Tu Gober czyli Bogumił Dominik Pałys (Irlandia)



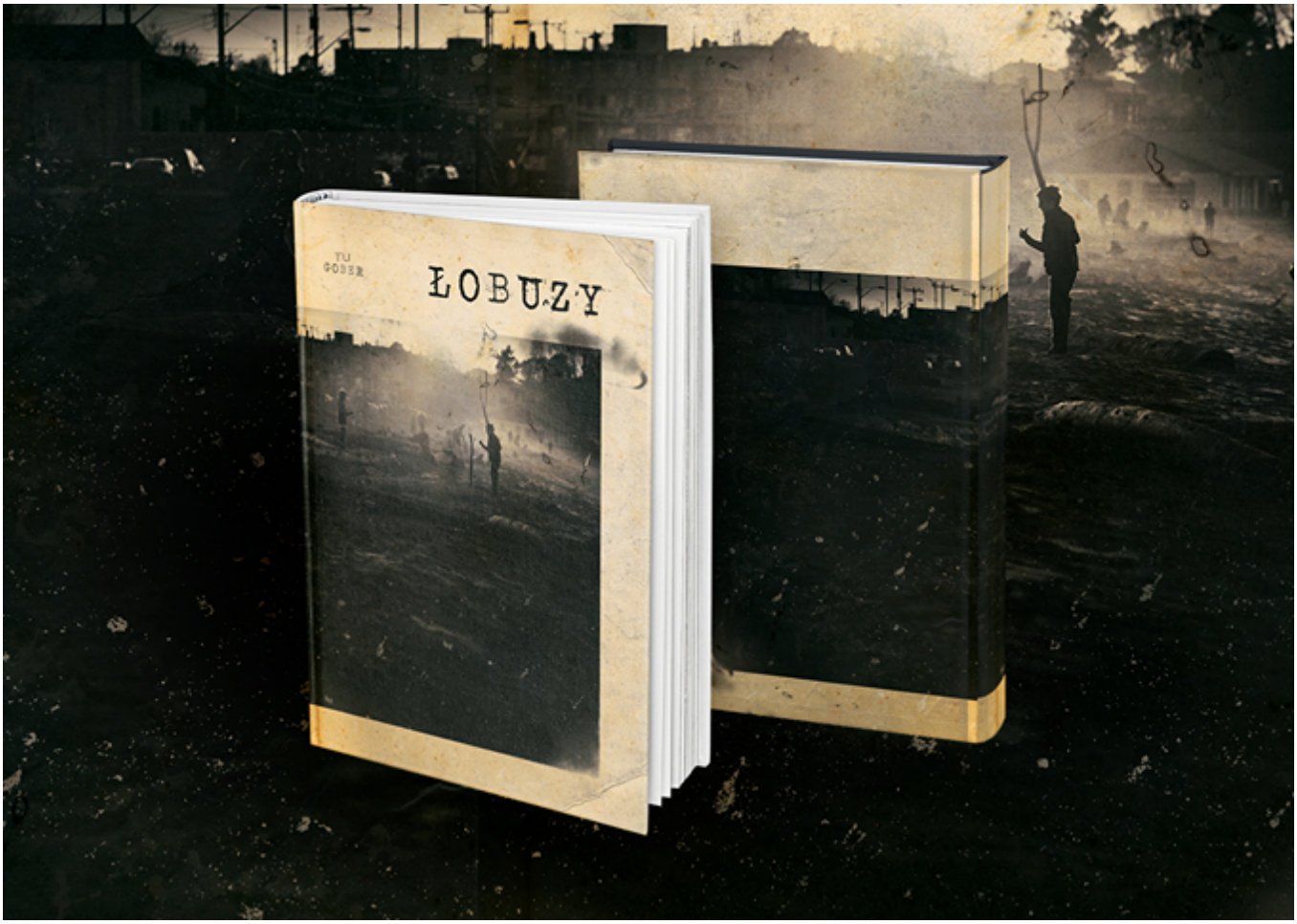
Tu Gober

Gober – raper, producent muzyczny, twórca teledysków, pisarz, organizator koncertów. Udziela się w takich zespołach jak Styl i styka, 2XG, Ostatni Bastion.
Od wielu lat mieszka i tworzy na emigreacji w irlandzkim mieście Galway, pochodzi z Lęborka, gdzie rozgrywa się akcja, napisanej przez niego książki „Trzy sumienia", która ściśle połączona jest z płytą „Dwa Głosy", nagraną w składzie Styl i styka. Gober w swojej twórczości, współpracuje lub współpracował m.in. z takimi muzykami jak Dj Gondek, Melny, Mc Rungus, Dj Feel-X, Bas Tajpan, Złote Twarze, Poszwixxx, Rob Kelly. Ponadto grał wiele

koncertów, „supportując” czołowych reprezentantów polskiego rapu i reggae. W czerwcu miała miejsce premiera jego solowej płyty o nazwie „StART”, a już niebawem drugiej książki pt. „Łobuzy”.
Twórczość Gobera, można śledzić na stronie: www.stylistuff.net

---

Łobuzy (fragment)



Tu Gober *(Bogumił Dominik Pałys, Irlandia)*

Potok to małe miasteczko. Zamieszkiwało je coś w okolicach dwudziestu tysięcy ludzi. Umieszczone w niewielkiej dolinie i otoczone szeregiem wzgórz morenowych i lasów, poprzecinane było wartkimi korytami rzek oraz ich licznych odnóg. Rzeki i liczne strumienie zapewne nadały miasteczku imię, gdyż w Potoku są ich aż dwie – Spływka oraz Kaszubia, a przez okoliczne knieje płynie jeszcze jedna o nazwie Górna. Lasów wokoło aglomeracji było naprawdę dużo i praktycznie całą mieścinę okalały ich bujne gęstwiny. Miejskie powietrze wypełnione było intensywną wonią dojrzałych iglaków, a żeby wjechać, lub też

wyjechać z Potoku, trzeba było przemierzyć spore połacie lasów. Żwawo płynąca woda, małe wodospadziki i mnogość zieleni, sprawiały, że okolica była bardzo malownicza. Ludzie, gdy tylko mogli, przesiadywali lub spacerowali w tych pięknych terenach. Bujne, zadbane parki, zielone łąki na skrajach lasów lub miejskie promenady przy rzekach, często gościli przechodnie i piknikowicze. Chłopcy, którzy mieszkali tam od urodzenia nie zdawali sobie sprawy z wdzięku ich miasta. Dla nich był to po prostu wielki plac zabaw. Choć mieli dopiero po jedenaście lat pozwalali już sobie na eskapady w najdalsze zakątki miasteczka. Ich celem nie było jednak zwiedzanie przyrody lub bezczynne siedzenie na ławkach. Szukali czegoś, gdzie można się było poganiać lub powygłupiać. Lubili też wchodzić na drzewa, odwiedzać wszystkie budowy, łazić po dachach i zwiedzać każdy kąt dla nich nowy.

– Dobra no choooć dasz radę!

– No kurde, noga mnie boli!

– Daaawaj, pomożemy ci!

– No nie wiem… a jak ja zejdę?

– No też ci pomożemy, daaaaawaj!

– No dooobra… tylko dajcie mi ręke, bo nie mogę jeszcze stawać na nogę.

Chłopaki wspinali się właśnie po piorunochronie. Najpierw weszli na garaż, co nie było zbyt trudne, a szczerze mówiąc była to dla nich bułka z masłem, albo kanapka ze szczypiorkiem.

– Ałaaaa, nie mogę sie oprzeć nogą, podajcie rękę – Szymkowi w końcu już też udało się wdrapać i teraz mogli spacerować sobie po jednopiętrowym budynku. Bardzo lubili chodzić po dachach i czuli się naprawdę wspaniale, spacerując tak na wysokościach, gdy ci na dole nie mieli pojęcia, że ktoś właśnie drepcze nad ich głowami. Tam w górze widzieli wszystko jak na dłoni, a kominy mogli wykorzystać jako osłonę przed przeciwnikiem. Tymi wrogami byli wszyscy, którzy mogli by ich tam zobaczyć, ponieważ nie podobało się to nikomu i prawie zawsze, gdy ich przyuważono, kazano im szybko zejść na dół i często też mogli za takie harce oberwać. Za osłoną kominów, kryli się więc i kucali, a anteny telewizyjne zdawały się być lufami karabinów i chłopcy byli znów jak Comando.

– I co dzisiaj robimy wieczorem?

– Ja idę do domu bo jutro sprawdzian z matmy – odparł kolegom Mateusz.

– No i co z tego?

– No chcę sie nauczyć , bo dostane pałę… nic nie umiem.

– Ja też nic nie umiem – powiedział Daniel.

– Ja też – dodał Szymon.

– I co? Nie bedziecie się uczyć?

– Nie e.

– No bo jesteście głupi.

– Ty jesteś głupi – odpowiedzieli koledzy.

– A wy najgłupsi – ciągnął tą słowną potyczkę Mati.

– A ty jesteś głupi dziobak – odparł mu Daniel

– Dobra idziemy – wtrącił się Piotrek i tamci ruszyli za nim wciąż jednak kontynuując swą waśń.

Wygłupy oraz przytyki to dzienny porządek podczas ich spotkań na podwórku, czy w szkole i Szymonowi nieco się obrywało, gdyż kuśtykał i nie mógł biegać więc chłopaki, bardziej niż

zwykle mogli pozwolić sobie na strojenie sobie z niego żartów.

– Kuternoga.

– Połamaniec, hehe.

– Spadajcie… Nie chcielibyście tak!

Gdy zeszli już z dachu i powoli wracali w swe strony, Mateusz zadzwonił do jednych drzwi, po czym chłopaki zwiali co sił w nogach, zostawiając Szymona z tyłu. Trudno opisać ile sprawiło im to radości, a protesty kumpla, jedynie ją powiększały.

– Nie róbcie tak gnoje! – groził nicponiom.

– Haaaaahahahahahaha!!! – dokazujących kumple ogarnął szaleńczy śmiech.

– Jeszcze zobaczymy! – w nerwach lecz z przenikającym często chwilowym uśmieszkiem, kaleka zasuwał do przodu, biegnąc jak gdyby na jednej nodze.

Było już po dziewiętnastej, lecz chłopcy postanowili jeszcze usiąść na bloczkach z betonu, które zalegały od lat na terenie szkoły. Gadali o „dupie Maryny” bo nie chciało im się iść do domów. Ze sobą czuli się najlepiej i często to powtarzali, że

szkoda iż wszyscy nie byli braćmi, ponieważ mieszkali by wtedy razem i mogliby spędzać ze sobą jeszcze więcej czasu.

– Maaaaarek! Dało się słyszeć wołanie z daleka.

– Muszę iść, to moja starsza.

– Dobra ja też idę.

– Ja też, ja też – rozstali się młodzi kumple, krzycząc coś jeszcze za sobą.

Jednego razu Marek miał bić się po lekcjach z Bąkiem, więc wszyscy na to czekali. Był on od niego starszy o rok i jako najwyższego w klasie, uważano go za jednego z silniejszych z czwartej B. Pomimo to był również chudy jak szkapa i czasem zdawać się mogło, że zaraz poprostu się cały rozsypie. Ta awantura wybuchła, gdy tamten dryblas powiedział coś do jego siostry i Maro się za nią wstawił. Wszyscy koledzy z paczki wiedzieli, że Bąku, choć był chudzielcem, nie można go było nazwać słabiakiem i że nieźle radził sobie w sporcie, a więc dopingowali mocno swojemu młodszemu koledze z podwórka, który chodził do trzeciej klasy. Na każdej kolejnej przerwie spotykali się, dając rady i mobilizując jak mogli kumpla, który to zdradzał lekkie obawy, przed starciem ze starszym od siebie rywalem.

– Dasz mu radę, to strach na wróble!

– No właśnie, połamiesz mu kości jak patyki – hehe.

Marek nie odzywał się dużo i w jego gardle narastało coś w kształcie kluski, której nie można przełknąć. Czuł strach, ale nie mógł się teraz wycofać bo okazałby słabość i zrobił by z siebie pośmiewisko.

Na otwartym polu przy działkach, odbywały się szkolne solówy. Miejsce to znajdowało się jedynie około czterdzieści metrów od budynku ich szkoły, lecz zasłonięte było płotem oraz drzewami, więc żaden z nauczycieli nie mógł niczego dojrzeć. Jak zwykle na pokaz dzikich sztuk walki, przybyło znów wielu widzów.

– Dawaj Bąku lej go! – dopingowali jego koledzy z klasy.

– Nie daj się Marek! – podkręcali do boju, przeciwni kibice.

Wyglądało, że Maro dostanie dziś spore bęcki, bo tamten wyższy o ponad głowę okładał go z góry, długimi jak szpadle łapskami. Dużo niższy wojownik nie miał za dużo manewru i mógł póki co jedynie chronić swą twarz i unikać spadających nań ciosów. Nie było szansy, aby mógł przedrzeć się swymi krótkimi dłońmi, przez nawałnice czynioną przez Bąka i jeszcze trafić wysoko utkwioną głowę rywala. Czasami zmieniał się tryb bijatyki i

jeden drugiego chciał zwalić na ziemie szarpiąc się za ubrania oraz starając podstawiać haki. To była walka bez, żadnej gracji. Zwykła szamotanina, lub przebieranie pięściami „na chama", gdzie ten roślejszy napastnik okładał drugiego na oślep i nawet młoda i niezbyt wybredna publiczność była już zniesmaczona takim widokiem. Dopiero po jakimś czasie, Mareczek odkrył jak może zagrozić tamtemu i zaczął używać nóg. Niskie kopniaki skierowane na łydki oraz piszczele, zdały się zaskoczyć wroga, sprawiając mu widoczny ból. Jednak zamiast zwolnić naparł on z jeszcze większym zacięciem na Marka, trafiając go raz na tyle mocno, że stracił on równowagę i poleciał do tyłu na giętkich nogach, szczęśliwie lądując na publiczności, która wrzuciła go znowu na trawiasty ring. Na szczęście nie był to cios trafiony w jakiś czuły punkt taki jak kość policzkowa, łuk brwiowy, szczęka lub nos. Chłopak dostał jedynie gdzieś w czoło, więc stanąwszy znów pewnie na nogach był w pełni gotów by dalej się bić. Co więcej, zdawało się, że nabrał on sił i wigoru, a jego kopnięcia zaczęły lądować wyżej. W pewnym momencie Bąku dostał od niego w żebra i musiało go to srogo zaboleć, gdyż skrzywił się i zgiął się raptownie, a jedna z rąk, bezwarunkowo powędrowała w kopnięte miejsce. Maro nie czekał długo i prawym prostym wykorzystał swoją okazję. Uderzył tamtego w zęby, a potem jeszcze raz gdzieś pod oko. Jego przeciwnik, musiał to solidnie odczuć bo skrył tylko twarz w swoich dłoniach i chociaż stał dalej na nogach i śmiesznie przebierał łokciami jakby chciał dalej walczyć, Marek nie miał już trudu, aby powalić dryblasa.

Podstawił za nim swą lewą nogę i pchnął go do przodu, sprawiając, że tamten runął do tyłu jak długa kłoda. Skoczył potem na niego i przyparł go mocno do ziemi. Chwytając Bąka za jego chude łapiny, chwilę się z nim szamotał i w końcu przycisnął je obie do gruntu, trzymając je tam przez chwilę.

– Na łopatkach, wygrał, wygrał! – odezwały się zewsząd krzyki.

– Niech wstanie i niech biją się dalej – dały się słyszeć inne.

– Wygrał, wygrał! Koniec walki! Marek wygrał! – kompani z paczki, odciągnęli kolegę i zaczęli klepać go radośnie po plecach, a Bąku nie protestował i zdawał się pogodzić z takim wynikiem, mając wyraźnie dosyć tej bitki. Wstał znów na nogi i starał się trzymać postawę, lecz widać było, że bardzo zawstydził go fakt porażki z trzecioklasistą. Maro był cały czerwony, miał guza na czole i jeszcze więcej na głowie, a jego poszarpane, lecz trzymał się dzielnie jak buhaj.

Poszli więc w swoją stronę, a z tyłu została cisza i niesmak. Kumple natomiast cieszyli się bardzo i niezmiernie chwalili Marka, który urósł dzisiaj w ich oczach i obronił swój honor i dumę.

– Chodźcie do mnie, zagramy w Pegazusa – zaproponował im Szymon, na co chłopcy od razu przystali. – Mam nowe

„kartridże” od wujka Mirka.

– No co ty gadasz?! A jakie?

– Street Fighter i Księgę Dżungli!

– Ooooo! Suuuper! Biegniemy! Kto pierwszy ten król!!!

Pobiegli więc, jak zwykle ścigając się po drodze i skacząc przez murki i płot. Z nogą Szymona było już prawie wszystko w normie i tylko trochę kuśtykał nie dając się zostawić daleko w tyle. Ich plecaki skakały na nich jak głupie, ale ich ciężar nie przeszkadzał tym pierwszorzędnym sprinterom. Wparowali jak przeciąg do domu i już chcieli zabrać się za granie, gdy nagle spostrzegli, że w dużym pokoju, obok telewizora, brakuje stojącej tam zawsze konsoli.

– Maaaaamo, gdzie jest pegazus!!!?! Mamooo słyszysz! – Szymon z podniesionym głosem wparował do kuchni.

– Po pierwsze nie krzycz, a po drugie schowałam go, bo dzwoniła do mnie dyrektorka i mówiła, że wczoraj nie było cię w szkole – oznajmiła mu dosyć spokojnie matka.

Wiadomość ta ścięła z nóg chłopca i stał tylko jak wryty czerwieniąc się cały na twarzy, oraz wpatrując w mamę.

– A teraz mów do cholery gdzie byłeś!??! – dodała po chwili, tym razem podnosząc znacznie swój ton. – Na wagary chodzisz gówniarzu jeden? Czy ja cię tego nauczyłam? Gdzie byłeś?

– W szkole! – ze zdziwioną miną i głową zapatrzoną w podłogę, odpowiedział już dużo spokojniej małolat.

– I jeszcze do tego kłamie, ja ci dam Pegazusa! Przez rok go nie zobaczysz!

– Ale maaamo… – zaciągnął Szymek.

– Co mamo?!? – krzyknęła matula.

Koledzy, słyszący wszystko z pokoju, zdawali się mieć drgawki. Pomimo dość przestraszonych min nie mogli zapanować nad cichym rechotem, szturchając jeden drugiego.

– Koledzy do domu, a ty do nauki!

Kumple prędko czmychnęli z mieszkania, a rozgniewana matka dalej pytała syna.

– Powiesz w końcu prawdę czy nie? Jak nie powiesz gdzie byłeś to przez miesiąc będziesz miał karę.

Chłopiec się nie odzywał.

– No mów!

– W szkole.

– Jak w szkole, jak pani dyrektor mówiła, że cie nie było! Wiesz, że ona dzwoni do mnie jak coś nabroisz! To gdzie byłeś naprawdę!? – Tym razem, kobieta uniosła dłoń jakby chciała wypalić mu klapsa.

– No w szkole byłem… – po tych słowach chłopak oberwał po głowie i uszach.

Dostając solidne razy, zawołał:

– No byłem w szkole, tylko nie na lekcjach – protestował jękliwie łobuz.

Matka westchnęła z dezaprobatą.

– To gdzie ty tam byłeś? – wciąż głośno, ale z ręką ściągniętą już w dół, dalej go wypytywała.

– No w szatni, w piwnicy.

– Do cholery jasnej zamiast na lekcjach to ty siedzisz w jakiejś piwnicy? Co to ma być! Co ty tam robiłeś?

– Nie mogłem iść bo był sprawdzian, a ja nienawidzę tej głupiej matmy.

– To co ty w ogóle lubisz, z innych lekcji też masz dwóje i pały. I co tam robiłeś pięć godzin?

– Uczyłem się.

– Na lekcjach się uczy, a nie w jakichś piwnicach, co ty za głupoty gadasz!?!

– Naprawdę, bo jutro jest sprawdzian z gegry.

Matka patrzyła z niedowierzeniem na syna i na moment wyglądała jakby zastanawiała się nad czymś zupełnie innym, jakby jakieś wspomnienie przemknęło jej przez myśl.

– Koniowi na ucho – powiedziała w końcu już nieco spokojniej – poza tym nie opuszcza się jednych lekcji, żeby uczyć się na inne!

– Ale ja lubię gegrę, a matematyki nie lubię i nie chce mi się uczyć tych głupich ułamków…

– Masz chodzić na wszystkie lekcje i koniec dyskusji ! Jak jeszcze raz się dowiem, że uciekłeś to dostaniesz tak, że na zawsze zapamiętasz i jeszcze do końca roku nie wyjdziesz z domu!

Szymon wystraszył się trochę tych słów i czuł, jakby jakaś twarda gula podchodziła mu gdzieś z okolic płuc aż do gardła. Wciskał ją siłą woli z powrotem, ponieważ nie chciał płakać i tylko dwie albo najwyżej trzy łzy, zaczęły spływać powoli po jego policzkach. Szybko je wytarł, wyciągnął z plecaka zeszyty, piórnik i jakiś podręcznik i w zamyśleniu począł udawać, że coś z niego czyta.

– Co ja z tobą mam… – matula żaliła się smutno, powróciwszy do gotowania obiadu.

Kuchnia dzieliła się na część przeznaczoną do sporządzania i przechowywania żywności i część ze stolikiem przy oknie, gdzie jedli i gdzie Szymek odrabiał lekcje. Poza tym był tam jeszcze kąt przeznaczony do przechowywania przedmiotów ogólnogospodarczych, takich jak miotła, wiadro, pojemnik na jakieś szmaty i szczotki, a obok mieścił się nieduży schowek, gdzie upchane były garnki, patelnie i inne sprzęty kuchenne. Podłogę pokrywało jasnobrązowe gumoleum, z niewyraźnym już wzorem, startym od tysięcy stawianych nań kroków. Kafelki w części kuchennej, były bladobrązowe i jednolite, a część ze stolikiem, imitująca małą jadalnię pomalowana była kiedyś białą

farbą, która po czasie zszarzała i ozdobiła plamami i zaciekami. Po wielu latach użytkowania, przydałby się tam solidny remont, lecz nie było ich stać na wynajęcie fachowca, a matka nie potrafiła sama się za to zabrać. Wujek Mirek już od dawna obiecywał, że im w tym pomoże, lecz wciąż to odkładał i żyli tak w tych skromnych warunkach, dalekich od elegancji oraz komfortu. Reszta mieszkania, była w podobnym stanie i choć nie panował tam brud, widać było, że lokatorom się nie przelewa i bieda, postawiła tam swoja pieczęć.

Niesforny uczeń, zaczął pisać coś w końcu w zeszycie, ale myślami odbiegał co chwilę do wczorajszego dnia, gdy w czasie trwania lekcji schował się w szatni, umieszczonej w piwnicy szkolnej. W zasadzie nie siedział tam długo, ponieważ wraz z Mateuszem, znaleźli tajemne przejście, prowadzące do części szkolnych podziemi, do których normalnie nie było wstępu i gdzie magazynowane były różnego rodzaju przedmioty, archiwa oraz mieściła się też palarnia i kilka innych pomieszczeń. Dostali się tam przez szczelinę, przez którą szły rury do ogrzewania. Między nimi i sufitem była na tyle spora luka, że mogli się przez nią przecisnąć. To odkrycie zrobiło na nich ogromne wrażenie i nie mogli odejść od zachwytu, gdy podziwiali wszystkie przedmioty i przestrzenie niczym w nowo odkrytej krainie. Były tam mapy, globusy, szkielety, mikroskopy inne cuda z klas biologicznych, roiło się od stert tablic, pudełek z kredami, arkuszy papieru oraz zeszytów, książek, farbek, mazaków,

kredek, wskaźników, piłek i wszelkiego innego sprzętu przydatnego w szkole. Zwiedzali, szperali i posuwali się coraz dalej, a przy tym zdawało się im, że są bohaterami jakiegoś przygodowego filmu. Młodzi odkrywcy bawili tam prawie dwie godziny, gdy Mati w końcu postanowił pójść na lekcje bo bał się, że jego rodzice dowiedzą się o tych wagarach. Szymon został tam sam i rzeczywiście, nie mając samemu co robić, wziął się za naukę na sprawdzian z geografii, w czym pomagały mu niektóre z odnalezionych przedmiotów, przyczyniając się do tego, że jego tajemne studia całkiem go pochłonęły. Choć miał zamiar wrócić na trzecią lekcję, został tam już do końca zajęć, spędzając czas w ciszy, oraz spokoju, gdzie cały szkolny harmider, docierał tam tylko już jako nikły szmer.

– Zabieraj mi to stąd! I telewizje normalną włącz, a nie te głupoty! – Ojcu Mateusza nie podobała się zabawa syna w układanie domina i kart na stole, z których tworzył tam różne budowle, ciekawe obiekty i ścieżki. Dzieciak już po raz kolejny oglądał przy okazji Gunnisa, którego włączył z kasety video, lecz teraz musiał to wszystko przerwać. Niechętnie lecz w ciszy spełnił polecenia taty, po czym na chwilę oglądał z nim coś co pojawiło się na ekranie. Jakiś facet w garniturze, mówił dość powoli i chyba po polsku, lecz chłopak kompletnie go nie mógł zrozumieć. Z jego wyrazu twarzy, można było wywnioskować, że to coś ważnego lecz w uszach Matiego brzmiało to jak zupełny bełkot. Ojciec również wyglądał jakby niewiele z tego rozumiał i

przybrał minę jakby ktoś mówił do niego w obcym języku, a jego brwi poruszały się w nerwowym tiku. „To na pewno jakiś polityk czy coś…” – myślał chłopiec – „oni tak zawsze, całkiem bez sensu gadają”. Szybko znudzony postanowił wyjść z pomieszczenia, lecz ojciec mu nie pozwolił.

– Gdzie idziesz? Posłuchaj trochę jak panowie rozmawiają. To jest o ważnych sprawach…

– Muszę to oglądać? – zapytał zniechęcony syn.

– Tak – odpowiedział z uporem mężczyzna.

Ten człowiek nie często bywał pogodny. Jego zachmurzona twarz, tylko czasami zdradzała nikłe oznaki szczęścia i można powiedzieć, że było to tylko dwa, albo najwyżej pięć procent jego całego obycia. Pracował jako majster w ślusarni, mieszczącej się w jednej z hal, na terenie gdzie znajdowała się kiedyś spora fabryka, a od kilku lat, po jej zamknięciu tylko jakaś jej część była wykorzystywana i wynajmowana przez różnych przedsiębiorców gdzie prowadzili swe działalności. Janusz Kubiak, pracował tam jeszcze w czasach gdy cała fabryka była państwowa i pozostał po prostu na swym stanowisku, kiedy ślusarnia przeszła w prywatne ręce. Często powtarzał, że marnuje tam swoje życie i niemal codziennie wracał do domu przybity i zdenerwowany. Kiedyś, w latach młodości miał swe

zapędy oraz marzenia by zostać nauczycielem lub naukowcem, lecz nigdy nie udało mu się ich urzeczywistnić. Jego rodzice, wprowadziwszy się do Potoku po wojnie skierowali go w tą stronę, tłumacząc mu że musi wybrać coś praktycznego z czego w przyszłości utrzyma rodzinę i kiedy nadszedł moment gdy musiał obrać swój zawód, miał w głowie coś zupełnie innego niż ślusarstwo, lecz biernie poddał się presji rodziny i własnej niefrasobliwości. Kiedy jeszcze się uczył, bardzo podziwiał swych profesorów i zawsze go zastanawiało jakby to było być jednym z nich. Jako dziecko najchętniej bawił się w szkołę i miał to do siebie, że lubił wszystkich pouczać. Stąd małe grono przyjaciół, gdyż mimowolnie chciał instruować, każdego wokół, a mało kto lubi takie praktyki. Gdyby stał się tym kim chciał zawsze być, to pewnie znalazł by ujście swoich ambicji u uczniów, którzy chętnie albo poprostu z przymusu, musieliby słuchać jego wykładów. Poza tym miałby wielu kolegów takich jak on, z którymi na pewno znalazłby wspólny język. Nie mógł sobie wybaczyć, że nie kształcił się na magistra, a teraz uważał, że jest już na to za późno.

Jego życiowe niezadowolenie, odbijało się na rodzinie, która musiała znosić charakter jej głowy. Żona, po wspólnie spędzonych latach, chyba zdołała się przyzwyczaić, choć może jej zbytnia skromność i cichość wynikały właśnie z tej sytuacji, iż musi znosić humory i nerwy męża, gdyż kiedyś potrafiła być bardziej otwarta, a wielu twierdziło, że z biegiem czasu zaczęło

znikać z niej życie. Mała Anitka – siostrzyczka Matiego, niewiele mogła zrozumieć z otaczających ją okoliczności, gdyż miała tylko trzy lata i osiem miesięcy i trochę później niż inne dzieci, dopiero zaczynała cokolwiek mówić. Dziewczynka zdawała się być całym światem dla mamy. W niej znajdywała szczęście i ukojenie trosk. Oddawała jej prawie cały swój czas, troszcząc się o pociechę, jednak surowy małżonek to właśnie ją najbardziej obwiniał o to, że ich jedyna córka, rozwijała się wolniej niż inne dzieci. Uważał, iż jej metody ogłupiają dziewczynkę i krytykował wciąż niemal wszystko co z nią czyniła. Kobieta nie była osobą wykształconą i nie potrafiła argumentować swych racji tak jak jej mąż, ale starała się jak tylko mogła najlepiej dbać o swoje pociechy. Po niezliczonych uwagach prawionych w jej stronę przez współmałżonka, zastanawiała się jednak czasami, czy może jednak naprawdę nie szkodzi jakoś swojej córeczce, martwiąc się o jej przyszłość. Uspakajali ją bliscy, oraz lekarze, zapewniając, że z dzieckiem jest wszystko w porządku i że to nie jest odosobniony przypadek, gdy rozwój wymowy nadchodzi troszeczkę później. Twierdzili też oni, że takie dzieci w pewnym momencie w niezwykłym tempie potrafią nadgonić swe zaległości, a nawet wyjść ponad przeciętność i zacząć odznaczać się wyższą niż rówieśnicy inteligencją. Kobietę uspokajały po części te zapewnienia, lecz mimo to, robiła też wszystko co mogła, by pomóc córeczce w rozwoju. Prawie cały swój dzień poświęcała Anitce, niestety w ten właśnie sposób Mateusz mógł poczuć się odrzucony. Dbała o niego i darzyła, chłodniejszą, lecz

dalej matczyną miłością, jednak nie znajdywała zbyt wiele chwil, które mogłaby poświęcić synkowi. Chłopak, rozumiał jej troskę i kochał ją bardzo tak jak też swoją młodszą siostrzyczkę, o którą również się martwił i nie okazywał im żalu o to, że został na drugim planie. Jedynie coś bardzo głęboko utkwione w sercu, drażniło go w niektórych dniach. Raczej nie zdawał sobie sprawy, skąd i dlaczego pojawiał się w nim dziwny smutek, który w niektórych momentach gnębił przez jakiś czas chłopca. Ktoś z boku, powiedziałby jednak, że temu jedenastolatkowi potrzeba ciut więcej miłości, oraz uwagi, których nie dawał mu ojciec i przez to wszystko też matka. Choć sam czuł się już duży, był jednak wciąż tylko dzieckiem i miał takie same potrzeby jak wszystkie inne dzieci.

– Mogę już iść? – zapytał ojca Mateusz, po wielu, ciągnących się w nieskończoność minutach.

– No idź – odpowiedział surowo tata – ale przynieś mi tutaj zaraz, zadanie domowe do sprawdzenia.

Chłopak z lekko skrzywioną miną, powłóczył nogami do swojego pokoju po tornister. Gdy przyszedł z powrotem, wyciągnął zeszyty i kolejno pokazywał je tacie. Ten sprawdzał wszystko uważnie i zwracał uwagę na najmniejsze szczegóły. Nawet gdy wszystko miał zrobione dobrze, obrywało mu się za nazbyt koślawe pismo lub brak marginesów. Ojciec nie chciał pozwolić

by jego syn tak jak on, skończył bez wykształcenia. Za wszelka cenę pragnął, by stał się on kimś ważnym, a nawet wielkim i w ten sposób próbował spełnić swoje własne ambicje. Przykładał olbrzymią wagę do jego nauki, nie zdając sprawy iż bardzo przy tym przesadzał, co mogło nieść ze sobą całkiem odwrotne skutki. Nie można było powiedzieć, iż nie poświęcał on swemu synowi uwagi, lecz to nie takiej uwagi chciałby dostawać od niego Mateusz. Tata, zupełnie nie troszczył się o to czym tak naprawdę interesował się chłopak. Nie pytał go nigdy o zwykłe sprawy i ich relacje, przybrały wręcz urzędowego oddźwięku. W ten sposób ten młody człowiek, czuł skrępowanie i dystans, do swego własnego ojca. Bał się mu o czymkolwiek powiedzieć, a stan ten pogłębiał się z każdym dniem.

Po długim sprawdzaniu lekcji Mateusz, w końcu mógł odejść, dostając wiele poleceń i uwag odnośnie swojej nauki. Przez prawie półtorej godziny, wypełniał nakazy ojca. Potem pobawił się chwilę z Anitką, zjadł zimny kisiel, a po posiłku wyjrzał przez okno by sprawdzić, czy u Szymona w pokoju jest zapalone światło. Zauważywszy, że tak, postanowił wyjść z domu by porozmawiać z kolegą. Ich mieszkania oddalone były od siebie zaledwie o jakieś niecałe trzydzieści metrów i czasem, choć musząc robić to głośno by się usłyszeć, gadali ze sobą przez okna, pokazywali znaki lub sprawdzali czy drugi jest w domu. Mateusz mieszkał w jednej z Kamienic przyległych do ulicy 4-go Maja, natomiast Szymon w szeregu zastępczych bloków,

schowanych za nimi z tyłu. Do tamtych skromnych, jednopiętrowych budynków, prowadziły, utwrdzone szosy bez asfaltowej nawierzchni. Był to solidnie ubity piasek, na którym, po obfitym deszczu tworzyło się wiele kałuż. Oprócz tego, od ich budynków, dzielił ich jeszcze trawnik, trzepak i piaskownica, a poza tym kilka linek na pranie, przyczepionych do drągów lub płotów, na których gdzieniegdzie wisiały czyjeś koszule, skarpetki lub spodnie.

Fragment powieści dla młodzieży „Łobuzy", której akcja dzieje się na Pomorzu w latach 90. Książka już wkrótce będzie dostępna we wszystkich polskich księgarniach internetowych lub bezpośrednio od autora: www.stylistuff.net

W piątek 30 sierpnia ukaże się rozmowa z autorem – muzykiem z Irlandii.